

— Wil... willa... wil...
Jeszcze jeden kurcz szarpnął ciałem... Wyzio-
nęła ducha.

III.

A pani Kesselbach! a Hartog! Bóg wie, co ci
baudyci dotychczas zrobić mogli! Lenormand miał
ochotę wyruszyć odrazu, albo dwóch towarzyszy
odłączyć. Spostrzegł jednakże, że wyczerpani są
nadmiernie. Upłynęła dobra godzina, zanim znaleźli
zajazd, obudzili gospodarza i służbę i nim zaprzęgi-
szy do wózka, złożyli na nim ciało. Nareszcie wśród
nocy gromadka wolnym krokiem tępego konia do-
jechała do Garches. Konwój w najgłębszym milcze-
niu zajechał przed Zacisze. Uciszyli portyera, który
zaczął wołać przerażony:

— Panna Gertruda!... Zabita!... Ale którądyż
ona wyszła z domu?

Prosił, żeby inspektorowie nie wnosili ciała do
pawilonu Cesarzowej, który zamieszkiwała pani
Kesselbach.

— Biedna pani i tak chora... to
będzie dla niej cios... Ona tak pannę
Gertrudę kochała!... Nie! złóżcie pa-
nowie ciało w pawilonie obok, w pa-
wilonie Hortensyi, który jest pusty...
Pani Kesselbach wynajęła go, by nie
mieć sąsiadów, by mieć spokój w naj-
bliższym sąsiedztwie. To też można,
ma się prawo...

Lenormand nie słuchał, co portyer
mówił. Szybko zmierzał ku mieszka-
niu pani Kesselbach, z lękiem z każ-
dym krokiem wzrastającym. Co się
stało z młodą kobietą? Co się stało
z Hartogiem? Zapukał. Posłyszał kro-
ki i zgrzyt klucza w zamku. Krzyk-
nął radośnie.

— Ach, to ty, Hartog! A pani
Kesselbach?

— Dalibóg, szefie, nie widziałem
jej. Spi prawdopodobnie.

— Jakto?... ależ Gertruda?...

— Gertruda nie wychodziła ze
swego pokoju.

— Nie słyszałeś nic?

— Nic, szefie.

Lenormand poszedł na górę do po-
koju Gertrudy, przekonał się, że okno
było otwarte i że drabinka sznurowa
zwieszała się z balkonu. Przekonał
się także, że słusznie posądził Ger-
trudę o przecięcie druta i już miał
wychodzić, gdy odchyliły się drzwi
sąsiedniego pokoju, to jest do ubie-
ralni.

— Co się dzieje, Gertrudo?

Była to pani Kesselbach, w towa-
rzystwie Zuzanny. Szepnęła, zmiesz-
na obecnością pana Lenormand:

— Jakto?... z jakiego powodu?

— Z żadnego powodu, pani. Chcia-
łem tylko wiedzieć, czy Gertruda jest
u siebie. Nie ma jej, widzę.

— Musi być w domu... Gdzieżby
być mogła?

— Poszła stąd.

— To niemożliwe!

— Bardzo możliwe. Proszę się przypatrzeć tej
drabince sznurowej i proszę powiedzieć, czy to nie
jest dowód winy dostateczny...

Nie dokończył. Dolores rękę podniosła do serca,
tłumiąc okrzyk bólu. Zachwiała się, oparła o krze-
sło, wyprostowała i padła na wznak w objęcia
Zuzanny. Omdlała ułożono na łóżku.

— Niech jej pani nie opuszcza — zwrócił się
pan Lenormand do Zuzanny. Na wypadek Hartog
zostanie w tej ubieralni... drzwi będą otwarte.
W razie potrzeby pamiętaj, wołaj Hartog, jesteśmy
na dole.

Zeszedł w chwili, gdy bracia Dondeville stawiali
nosze w przedpokoju.

— Sprawujcie się cicho — rzekł — złóżcie u-
marłą w salonie. Pani Kesselbach jest chora, uprze-
dź ją dopiero za obudzeniem, również Zuzannę.
Gdyby was Hartog wołał, idźcie na górę prędko.
Idziesz Gourel?

Pana Lenormand zaciekało najbardziej to, ja-
kim sposobem Gertruda, spuściwszy się po sznu-
rowej drabince, wydostała się z ogrodu. Oczywiście
było, że nie wyszła główną bramą, i że musiało
być jakieś wyjście, któredyś wchodzić i wychodzić
mogła, niewidziana, o każdej godzinie nocy, a na-
wet dnia.

— Zgasz twą latarkę, Gourel, nie trzeba, by nas
widziano.

— Kto taki, szefie?

— Ach, gdybym to wiedział!

Szli wzdłuż okalającego ogród muru, a chociaż
księżyc zaszedł, dość jasno było, by mogli zbadać
kamienie muru i przekonać się, że w murze nie by-
ło żadnej szczyrby, ani otworu, któryby wyjście u-
czyłnił możebnem.

Dochodzili już do łoża portyera, gdy ujrzeli
światelka, błyskające w głębi ogrodu.

— To nasi ludzie, to ich kieszonkowe latarki —
rzekł p. Lenormand.

Pobiegli w tę stronę. Wydało im się, że mijają
cień jakiś, chroniący się pod drzewa. Gdy dobiegli
na miejsce, Dondeville zapytał:

— Nie widział pan, panie szefie, chłopaka, który
anm umknął przed czwilą?

Pan Lenormand wrócił do miejsca, gdzie mi-
gnął ów cień podejrzący, ale nie znalazł tam ni-
kogo.



Lenormand nachylił się. Tak, to była Gertruda.

— Mów, Dondeville, co to znaczy? Czy przy-
szedł kto?

— Tak; podczas gdy byliśmy w salonie, po-
słyszeliśmy jakiś szmer i wydało nam się, że ktoś
wchodzi. Nie otwieraliśmy, więc prawdopodobnie
miał klucz, a musiał być z miejscowością dobrze
obeznany, gdyż prosto poszedł schodami i tam go
przy świetle gazu zobaczyliśmy... wyroszek... może
piętnastoletni.

— I cóż on zrobił?

— Okrutnie się związał... No, i my także... Wi-
dzieliśmy, jak wchodził do pokoju Gertrudy i my-
ślimy sobie: „tam na Hartoga wpadnie“... Ale nie,
ulołnił się z pokoju prędko, cicho i bez śladu. Jak
kamfora.

— Ej, do licha! drabinka sznurowa! — mruknął
pan Lenormand.

W tej chwili wszedł drugi Dondeville, z jakimś
papierkiem w ręku. Był to list, złożony we czworo
i zgnieciony, którego koperta nie była rozdarta.

Pisany ołówkiem na cienkim papierze, zawierał
te słowa.

„Wzywałem cię do telefonu. Czy to ty
mi odpowiadałaś? Nie mogłem potem uzyskać
połączenia. Jestem niespokojny... Przyjdę...
Jeżeli co zaszło, powiedz małemu“.

— Doskonale, doskonale — zauważył pan Le-
normand — to Ribeira niespokojny, gdyż nie mógł
się rozmówić przez uszkodzony telefon, idzie na
odsiecz... Będziemy mieli coś nowego.

— Pan ma jakiś plan, szefie? — wtrącił
Gourel.

— Dobry tym razem... A teraz do roboty. Wy
bracia Dondeville idźcie na swój posterunek. Gourel,
szukajmy przejścia. Odpocznijmy później... tak przy-
najmniej mam nadzieję.

Pole dochodzeń było teraz bardziej ograniczone.
Sądząc po tajemniczym zjawieniu się wysłańca Ri-
beiry, banda musiała mieć z ogrodem połączenie,
umyślnie na ten cel urządzone, a którego ujście znaj-
dować się musiało w miejscu bezpieczniejszym, pra-
wdopodobnie w jakimś budynku. P. Lenormand
szukał więc i oglądał się za jakąś szopą, za ja-
kimś kioskiem odosobnionym, za jakimś krytym
gankiem. Była wprawdzie szopka, przyparta do
muru pawilonu Hortensyi, był i kryty ganek. Ale
czyż mogli wybrać sąsiedztwo zamieszkałego domu?

— Zamieszkałego? — szepnął pan Lenormand
sam do siebie. Ależ on przecież za-
mieszkały nie jest. Portyer mi to
powiedział. Z obawy przed hałasem,
pani Kesselbach ten pawilon wy-
najęła. A może jej to Gertruda po-
radziła?

Obszedł dom. Story było zapa-
szone. Na wszelki przypadek spró-
bował klamki. Drzwi otworzyły się.

— Ach! — rzekł — zdaje mi się,
Gourel, że znaleźliśmy to, o co cho-
dzi. Wejdzmy. Daj swoją latarnię.
Przedpokój, salon jadalny — to wszyst-
ko niepotrzebne. Muszą być sutereny,
skoro niema kuchni na parterze.

— Tędy, szefie, tu służbowe
schody.

Zeszli w istocie do dość obszer-
nej kuchni, zarzuconej krzesłkami o-
grodowymi i trzcinowymi meblami.
Obok przytykała pralnia, będąca za-
razem piwnicą, przedstawiająca takie
same zbiorowisko w nieładzie nagro-
madzonych sprzętów.

— Niech pan patrzy, szefie!

Gourel podniósł z ziemi szpilkę
mosięzną, z główką z imitacji perły.

— Szpilka świeci się, rzucona tu
niedawno. Gdyby była dłużej tu le-
żała, poczerniałaby w tej wilgoci. Tu
musi być wyjście, Gourel.

Gourel zaczął rozrzucać stos ko-
newek i pak, przyparty do ściany.

— Tracisz czas Gourel. Jeżeli wy-
słamec Ribeiry tędy uciekał, czyż
mógł cały ten stos rozrzucać, a po-
tem układać za sobą? Patrz, oto ja-
kaś nieużyteczna okiennica, zawiesz-
na gwoździu na ścianie. Usuń ją.

Gourel zrobił, co mu kazano.

Poza okiennicą był mur wybity.
Przy świetle latarni ujrzeli idący
w głąb ziemny kurytarz.

IV.

— Nie myliłem się — rzekł pan

Lenormand — to przejście jest świe-
żo zrobione. Widzisz, to robota pospieszna i nie o-
bliczona na trwałość... Nic nie jest murowane. W od-
stępach po dwie belki skrzyżowane za podpory, a
wierzchem deska, służąca za sufit. I nie tyle tyl-
ko. Długo trwać to nie będzie, ale dla ich celu
wystarczy.

— Jakież to cel szefie?

— Najpierw umożliwić komunikację między
Gertrudą, a jej współnikami... a potem kiedyś,
może wkrótce, doprowadzić do zupełnego, cud-
ownego, niezrozumiałego zniknięcia pani Kessel-
bach...

Posuwali się ostrożnie, żeby nie potrącać o bel-
ki. Zdawało się na pierwszy rzut oka, że kurytarz
przenosi o wiele długość pięćdziesięciu metrów, sta-
nowiących odległość pawilonu od okrężnego
muru. Musiał więc wychodzić gdzieś daleko poza
murem i poza gościńcem, biegnącym wzdłuż posia-
dłości.

— Przecież tędy nie idziemy ku Villeneuve i ku
stawowi? — zapytał Gourel.

— Nie... posuwamy się w wręcz przeciwnym
kierunku.

(Ciąg dalszy nastąpi)